Nr. 23. We Lwowie dnia 3. Czerwca 1899. Rok 7.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

17) O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Inaczej się jednak rzecz miała w owej dobie, gdy przybył Przewalski po raz pierwszy do Irkucka, jadąc na Amur; był on wtedy tylko kapitanem, zgoła nieznanym, nie posiadał środków pieniężnych, nie miał żadnych protekcji, a nadto nazwisko jego zdradzało pochodzenie polskie.

Projekt podróży na wschód zrodził się był w umyśle Przewalskiego jeszcze za czasu jego pobytu w Akademji wojennej, a prawdopodobnie pod wpływem warunków wyżej wspomnianych. Widział on dobrze, że rozum ludzki, zamglony fanatyzmem religijnym i szowinizmem narodowym, stał się ciężarem zbytecznym dla sfer rozmaitych. Postanowił więc szukać szczęścia dalej od nich i w tym celu wybrał za temat dla swojej pracy piśmiennej przy egzaminie opis wschodniego pomorza państwa rosyjskiego. Opracował temat sumiennie i wyczerpująco i wskazał na ogrom braków w relacjach, jakie miano dotąd o tych posiadłościach dalekich *). Projekt zwiedzenia osobiście Amuru i Ussuri dojrzał dopiero w Warszawie, gdzie przebywał Przewalski czas pewien, pełniąc obowiązki nauczyciela w szkole junkrów. Bawiąc w tem mieście, wszedł w bliższe stosunki z Władysławem Taczanowskim, kustoszem gabinetu zoologicznego, odbył pod jego kierownictwem studja nad fauną ornitologiczną Mandżurji, nauczył się preparowania i wypychania ptaków, a także zwierząt ssących i w ten sposób przygotowywał się do podróży eksploracyjnej. Taczanowski ze swej strony, będąc myśliwym namiętnym i ornitologiem zamiłowanym, podniecał w Przewalskim zapał do wypraw, tyle obiecujących pod względem ornitologji. Działał on tu zupełnie tak samo, jak to czynił swego czasu z innymi podróżnikami, np. z Konstantym Jelskim, Konstantym Branickim etc. Z chwilą zaś, gdy projekt przeniesienia się Przewalskiego na Amur był już bliski urzeczywistnienia, wystarał się dla niego o pomocnika preparatora, w osobie niejakiego Roberta „Niemca-Warszawiaka“, jak on siebie sam nazywał. Ów Robert podjął się towarzyszyć nieodstępnie Przewalskiemu, przez ciąg dwóch lat, pod tym tylko warunkiem, że połowa zebranych kollekcji stanowić będzie własność jego, przyczem spieniężeniem kollekcji miał się zająć Taczanowski.

Zaopatrzony we wszystko, co było potrzebne i konieczne do życia na wpół koczowniczego, jakie wieść mieli podróżnicy na Amurze i Ussuri, wyruszył Przewalski z pomocnikiem, ażeby wczesną wiosną stanąć w Irkucku na czas przelotów ptactwa.

Preparator zawiódł wszakże oczekiwania Taczanowskiego i nadzieje Przewalskiego, zgotował temu ostatniemu kłopotów niemało, a co najwięcej naraził go na znaczne wydatki pieniężne. Już w drodze do Irkucka zatęsknił do narzeczonej, do swojej, jak ją nazywał w rozmowach z Przewalskim: „schönes und liebes Amalchen“ do „istoty o jedwabistem ciele“, jak ją mienił później Przewalski, gdy opowia-

*) Wypracowanie, o którem mowa, doręczył Przewalski komisji egzaminacyjnej Akademji wojennej, zaś bruljon jego miał ze sobą na Amurze. Dr. Płaksin, naczelny lekarz w Mikołajewsku, ówczesnej stolicy „kraju nadmorskiego“, figura licha, znany jako skąpiec, wyzyskiwacz i szuler, pożyczył ów bruljon do przeczytania, kazał go następnie przepisać i przesłał do władz zarządu lekarskiego w Petersburgu, jako swój własny elaborat. Część tego wypracowania dostała się do pism perjodycznych rosyjskich. Przewalski, dowiedziawszy się o tem, wytoczył proces Płaksinowi, wygrał go i zmusił plagiatora do zapłacenia odszkodowania na rzecz nędzarzy, kozaków usuryjskich, znanych pod nazwą „goltipaków“, a nadto wymógł na dr. Płaksinie, że się przyznał publicznie do czynu niehonorowego.

dał nam o swoich niepowodzeniach z Robertem. Zawód taki, zgoła nieoczekiwany i nieprzewidywany, mógł w niwecz obrócić wszystkie plany Przewalskiego, gdyby go z tej biedy podwójnej nie był wybawił Łagowski. Wziął on zaraz na siebie załatwienie tej całej sprawy i gdy nie mógł namówić preparatora, ażaby zaniechał powrotu do Warszawy, potrafił go przynajmniej wysłać tanim kosztem, przy jadących na zachód znajomych swoich, a następnie wystarał się o nowego pomocnika dla Przewalskiego.

Był nim Jagunow, młody chłopak, sybirak, nieskończony gimnazista, kandydat na topografa, zdolny, chętny, łatwy w pożyciu, wesoły, a do tego namiętny myśliwy i od dziecka marzący o wyprawach awanturniczych, chociażby nawet „na koniec świata“, jak powiadał. Już przed przyjazdem Przewalskiego sposobił się on do zawodu kollektora i podróżnika, ucząc się u Konstantego Żebrowskiego wypychania ptaków i czytając pilnie dzieła podróżnicze, odrazu też przystał na propozycję Łagowskiego i podczas dwuletniego pobytu Przewalskiego na Amurze, był jego nieocenionym pomocnikiem. Z nim też miał zamiar Przewalski odbywać i dalsze swoje podróże, wziął go w tym celu ze sobą do Warszawy, gdzie się doskonalił pod okiem Taczanowskiego w zawodzie preparatora i kollektora i już był gotów do nowej ekspedycji, gdy nieszczęśliwym wypadkiem utonął, kąpiąc się w Wiśle. Z nim stracił Przewalski najlepszego przyjaciela, a zarazem najzdolniejszego pomocnika i towarzysza najwierniejszego. Zastąpił go na razie młody oficer, czy też junkier, Kazłow, dzisiaj już generał i naczelny dowódca nowych ekspedycji do Azji centralnej, ale drugiego Jagunowa nie znalazł już Przewalski nigdy.

Łagowski po załatwieniu tak pomyślnem sprawy pomocnika dla Przewalskiego, zaopatrzył wyprawę we wszystko, co było niezbędne dla zbierania roślin, a przytem obznajomił podróżników z florą amurską, na podstawie zbiorów botanicznych towarzystwa geograficznego. W dalszym zaś ciągu śledził pilnie za biegiem wypadków pomyślnych dla ekspedycji. Wiadomości odbierane komunikował Kukielowi i głosił wszystkim w mieście sławę, podówczas jeszcze nieznanych w szerszym świecie, eksploratorów Amuru.

Dzięki względom Kukiela, uprzejmości wyrozumiałej gubernatora kraju nadmorskiego, admirała Furubelma, a także życzliwości przyjacielskiej kolegów starszych w urzędzie: Baranowa i Tichmienjewa, późniejszych generałów i gubernatorów kraju rzeczonego, mógł Przewalski oddać się całkowicie badaniom nad fauną i florą okolic zwiedzanych.

Niemniej szczerze, jak wyprawą Przewalskiego, zajmował się Łagowski i wszystkiemi innemi wyprawami naukowemi, ekspedjowanemi wtedy z Irkucka, tak np. wyprawami Czekanowskiego, Palakow'a etc.

Dla nas osobiście, tj. dla mnie, dla Godlewskiego Wiktora i Księżopolskiego Władysława wyrobił, za pośrednictwem p. Ryszarda Maacka, podówczas wielce wpływowej osobistości w Irkucku, ministra oświaty wschodniej Syberji, jak go nazywano — niezmiernie trudne do uzyskania pozwolenie na pobyt w Kułtuku nad Bajkałem. Trudność w dostaniu się do Kułtuka dla zesłanych, polegała na tem, że miejscowość rzeczona leży na drodze do Tunki, w niedalekiej od niej odległości; zaś do Tunki byli zwiezieni i tam internowani księża katoliccy zesłani. Ci znowu uznani byli przez władze petersburskie za najzawziętszych wrogów państwa i za najniebezpieczniejszych ludzi z pomiędzy wygnańców. Wszelkie więc możebne z nimi stosunki były surowo wzbronione, a chcąc uniemożliwić internowanym znoszenia się ze światem, postanowiły władze miejscowe niedopuszczać nikogo z Polaków do bliskich okolic Tunki. Widząc takie przeszkody, byliśmy już zdecydowani wyruszyć na północ do Gołoustnej, a nawet jeszcze dalej, do Goremyki, gdy ostatecznie udało się Łagowskiemu pokonać wszystkie zapory i uzyskać to, tak ważne dla nas pozwolenie, co świadczy znowu o tem, jak Łagowski umiał brać się do rzeczy i jaką posiadał wziętość u władz miejscowych.

Na pamiątkę serdecznych stosunków naszych ze śp. Józefem, nazwaliśmy w cześć jego jeden z nowych gatunków ryb porzecza Ingody i Onona nazwą Łagowski, mianowicie strzeblę tamtejszą: Phoxinus; a pierwszemu z kolei gatunkowi skorupiaków, wydobytych z głębi 1.300 metrów wód Bajkału, nadaliśmy miano: Gammarus (czyli Pallasea) Łagowskii.

Pomimo niezmiernie obszernej praktyki w mieście i okolicach i pomimo ciągłego załatwiania spraw i interesów obcych, któremi był literalnie zarzucany, umiał Łagowski znaleść czas na ekskursje i badania botaniczne. Zwiedzał okolice miasta Irkucka, doliny rzek Irkuta, Kai, Uszakówki, Zyłkiny etc., docierał do wybrzeża jeziora Bajkalskiego we wsiach Listwiennicznej i Kułtuku, urządzał wycieczki na wyżyny górskie (Chamardaban), nadto wysyłał Michasia, syna swego, w dalsze okolice, i w głąb gór Bajkalskich. Zbiory nagromadzone porządkował, determinował, pieścił się nimi, marząc o opracowaniu flory nadbajkalskiej, gdy wróci do kraju, albo gdy Michaś zastąpić już go potrafi w praktyce chirurgicznej.

Stanowisko, jakie zajął Łagowski w Irkucku, znaczenie jego i wziętość jako lekarza

i operatora, pozwalały cieszyć się nadzieją, że będzie miał możność pokierowania dzieci wedle myśli i pragnień swoich. Ale, niestety, inaczej się stało. Już pod koniec roku 1869 zaczął zapadać na zdrowiu i odtąd szło coraz gorzej, tak, że już w roku 1870 przyszedł sam do przekonania, iż dni jego życia są policzone. Rak żołądka rozwijał się szybko, sprawiał cierpienia nieopisane i zgotował śmierć przedwczesną, w chwili, gdy życie jego było dla rodziny najbardziej potrzebne, albowiem wychowanie podrastających dzieci wymagało czujności ciągłej i dozoru kierowniczego wytężonego, ażeby módz skutecznie przeciwdziałać wpływom niepożądanym, które już w owych czasach objawiać się zaczęły, mogąc obrócić w niwecz wszystkie dotychczasowe starania, łożone z jego strony i ze strony Feliksa Zienkowicza, ażeby dzieci pomimo prawosławia, pozostały polskiemi i ażeby owa „Kocia“ z Żytomierza i jej rodzeństwo zamiast błagać niebiosa o przywrócenie wolnej ojczyzny, nie byli zmuszeni powtarzać za swymi kapłanami przekleństwa (Anatemy), ciskanego ze stopni ołtarza na wszystko, co polskie.

Gdy wyjeżdżając do Daurji w lutym 1870 r., przyszedłem pożegnać Łagowskiego, był on już przekonany, że do jesieni nie „dociągnie“. Uskarżał się na brak chirurga odważnego, któryby się chciał podjąć operacji nad nim, ale z drugiej strony zeznawał że i operacja nie wróci mu zdrowia.

W dobie boleści i cierpienia najbardziej go obchodził los dzieci. Trwożnie zapytywał, co się z niemi stanie; myśl o dzieciach odbierała mu spokój i zatruwała ostatnie chwile życia. „Prawosławne one“ —powiadał— „zginą, wróciwszy do kraju, tam fanatyzm panuje taki, a jednak rady innej nie ma, wrócić muszą, bo tutaj środków do egzystencji nie mają żadnych“. Przewidywania śp. Józefa ziściły się w całości. Dzieci Łagowskiego stracone zostały dla społeczeństwa naszego. Syn najstarszy, wychowując się w środowisku wrogiem nawet dla imienia polskiego, w zakładzie Gałagana, skończył uniwersytet w Kijowie i odstąpił od dążności i przekonań ojca swojego. Niedługo wszakże cieszył się życiem. Będąc asystentem przy klinice uniwersyteckiej w Kijowie, zmarł tam na tyfus. Córki Łagowskiego wyszły za mąż za prawosławnych Rosjan, syn średni zakończył dni swoje samobójstwem. Wszystko w życiu rodziny Łagowskiego byłoby się inaczej ułożyło, gdyby go śmierć nie wydarła przedwcześnie, gdyby rodzina sama nie była rzucona w wir namiętności religijnych, narodowych i społecznych.

O śmierci Łagowskiego odebraliśmy wiadomość, bawiąc nad Arguniem. Mieszkańcy Irkucka oddali hołd należny pamięci zmarłego i stale zdobili, a może i teraz jeszcze zdobią mogiłę jego kwiatami. Tyle też o nim pozostało w pamięci społeczeństwa wschodniej Syberji.

(Dalszy ciąg nastąpi).



ZDRAJCY.

(Moment.)

(Dokończenie).

Długa chwila wyczerpania, zamkniętych oczu, dyszących ciężko piersi — spoczywają. Młody otrzeźwia się znacznie wcześniej. Oczy jego cierpiące, lecz przytomne zaczynają spoglądać nawet bystro i niecierpliwie. Uciekają zrazu niedbale od tych ciał bliskich i dalszych — szukając żywego ducha. Zawiedzione, wpijają się z tęskliwą ciekawością w krwawy przedmiot, tak blizko rozpostarty przed niemi... I oto rozszerzają się one zwolna... Rośnie w nich z każdą chwilą świadomość... zdziwienie... strach... groza. Chciwy wzrok zawisa już tylko na tym profilu o zaciśniętych ustach i brwiach, tragiczną linją łączących się na czole.

Jak niby w odpowiedzi na ten wzrok badawczy, a dziwnie chciwy i trwożny, obraca się ku niemu na spotkanie blada, siwiejąca głowa — otwierają się zwolna smutne, rozumne źrenice...

Tę twarz, tę głowę, te oczy — gdzieś widział. I tak oglądał, że nigdy, zapomnieć by ich nie mógł...

Tak, nietylko widział człowieka tego... ale... zabijał go nawet. Przebiega po nim dreszcz tej cudzej śmierci.

Tymczasem ciemne i smutne oczy mrużą się i przymykają, spotkawszy się z wejrzeniem tych młodych, tych niebieskich... zupełnie tak... jak wówczas. Potem otwierają się nagle z błyskami myśli rozbudzonej, szybko wirującej — i z wielkiem smutnem zdziwieniem wpijają się w tę niespokojną, wzburzoną, tę zawstydzoną twarz młodzieńczą.

— Ty? — mówią zrezygnowane, smutne oczy.
— Ja! — przyznają się błagalne, rozpaczliwe.
Odnowili »znajomość«.

. . . .

Cichy głos targany jękiem, przerywany milczeniem:

— Panie!.. jeśli możesz... i raczysz... mię wysłuchać... nieprzyjaciel... raniłem ciężko... błagam jednak — zrób mi łaskę... Chciałbym się... usprawiedliwić...

Zdziwiony szept chrapliwy:

— Z czego?... Wojna...

— Wojny nienawidziłem... cywilizacja... serce... mam ciepłe. Śmierć w tej nawet formie... uważałem za zbrodnię.

Zdziwione ciemne oczy nabierają miękiego wyrazu. Szept ledwie dosłyszalny odpowiada:

— Dalej.. jeśli możesz... Czyżby »nas« łączyć... tu?.. teraz?.. miała spólność przekonań?...

Chciwe ucho chwyta szemrzące ledwie słowa.

— Pozwalasz?... dzięki... lżej będzie. Jam wojny nie uznawał... Lecz kiedy wszystko ruszyło się i poszło... Kraj!.. kocham go nadewszystko... po nad ludzkość, niestety... Obronić... poświęcić się, zwyciężyć... Wspaniały szych olśniewający... kochać... i poświęcać się, tocząc krew ludzką... Brednie — jad słodki. a zbrodniczy... Czy mi wybaczysz... choć w części?..

Słowa te zdają się być przemówieniem oratora w porównaniu do cichych sylab urwanych odpowiedzi.

— Żyć będziesz... nie truj się więc... tem wspomnieniem... bo cię rozumiem... Nie mam żalu.

— Panie! ocknąłem się dopiero... w środku... tej rzezi... i byłbym już... jak tchórz uciekał od niej.. gdybyś właśnie tak długo... tak męcząco długo.. nie począł mierzyć we mnie.., Dla czego nie godziłeś odrazu? O powiedz jeśli... jeśli możesz!.. Zagrożone zwierzę... broniło się.

Znowu szemrzące sylaby:

— Wytłómaczę... trudno już mówić!

— A więc nie trzeba... wypoczywaj! wypoczywaj, panie!..

— Słuchaj... biedne dziecię... Ja gorzej jeszcze...

Długi wypoczynek, powtarzający się po każdym prawie wyszeptanym wyrazie:

... — Uczony.. strategik.. teoretyk.. archeolog wojny... grzebiący się w planach... Napoleonów i Walensteinów... anatom wielkich trupów... Wojna... anachronizm... dzikość afrykańska. Studja.. dzieła strategiczne... stąd wyższy stopień wojskowy. Przez całe życie nawet... nie widziałem wojny... prócz jednej cudzej.. na którą jeździłem patrzeć.. U siebie... za moich czasów... nie mieliśmy jej wcale.. Teraz poszedłem.. robić przynajmniej.. studja współczesne.. porównawcze... ha.. praktyczne!

Rozwlekły szept urywa się i milknie. Gorzki uśmiech zawisa przez chwilę na ustach mówiącego. Potem oczy ożywiają mu się jakąś nową myślą — i coraz chrapliwszy, coraz trudniejszy, szept się ponawia.

— O ja — nie byłem bohaterem... nie przysporzyłem chwały... naszemu orężowi... Mierzyłem długo!.. wywijałem szablą.. tylko w powietrzu... Kochałem... ludzkość... po nad ojczyznę... Wolałem być zabitym... niż zabijać...

— Boże! czemuż ja nie wolałem?...

— Cicho.. nie rozpaczaj, kolego... nie miotaj się... krwią spłyniesz... a wtenczas dostąpimy obaj... do mego ideału wojny... Uspokój się... Ktoś przecież dzielnie mię pomścił... Zresztą nie zostawiam nikogo... ktoby szczególnie rozpaczał...

Słabną i milkną, szczególnie starszy, słabszy. Z krótkiem westchnieniem ulgi przymyka oczy. Wywiązał się z ostatniego ziemskiego obowiązku.

Szybkie kroki — zaledwie szeleszczące po miękiej trawie zdeptanej. Ludzie, nosze, czerwone krzyże.

— Nasz? biedny młodzieniaszek!

— Nieprzyjacielski pułkownik?!..

— Błagam pana... ja mogę jeszcze czekać... opatrzcie pierwiej pana pułkownika!.. Nie bardzo cierpię...

— Ależ... tu już, zdaje się, za p...

— Cicho! na miłość Boga!

— Swoi nadejdą wnet po niego... Krzątają się już tam, na polu.

— Błagam!..

Ostrożne zręczne palce dotykają lepkich guzików munduru.

Szept niecierpliwy, syczący.

— O nie.. dziękuję.. nie ruszać!.. Chcę umrzeć spokojnie... Nie ruszać!.. w drodze umrę!..

— Ha, cóż robić!.. Panie poruczniku, nie mamy czasu na kaprysy! Bardzo proszę! Zdaje się, że możemy śmiało być przeniesieni do baraku, tam opatrunek...

— Nie dam się!.. Precz! dajcie mi pokój!.. Nie ruszę się, póki nie będę wiedział, co się z nim stanie!..

Drżąca dłoń pułkownika słabo usiłuje dotknąć głowy młodego oficera. Stłumione łkanie wstrząsa piersią młodzieńca.

Szept w osłupiałej grupie:

— Zdrajca!? który?

W gasnących ciemnych źrenicach błyska raz jeszcze ironja.

— Obaj! — brzmi ledwie dosłyszalna odpowiedź.

Janina Baudouin de Courtenay.

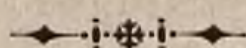


SPŁATA

PRZEZ

9) **PAWŁA BOURGET'A.**

Przekład Eugenji Żmijewskiej.



Jest to objaw czysto fizyczny, nieraz go na sobie stwierdzałem, lecz nigdy w stopniu tak silnym, jak wtenczas w owej dorożce, wiozącej nas obu ku przeprawie, której doniosłości nie mogliśmy przewidywać. Mój towarzysz nie odzywał się ani słowem aż do przedmieścia Saint Jacques. Tu kazał stanąć dorożce. Wskazał mi dom, zamieszkiwany przez Piotra Roberta i dodał:

— Ja pozostanę w powozie... będę na ciebie czekał...

Wszedłem do starej rudery, tak trafnie nazwanej przez Eugeniusza miasteczkiem nędzarzy. Stróż wskazał mi numer mieszkania pana Roberta.

Zapuściłem się w podwórko ciemne, smrodliwe, na które wychodziło sześć pięter okien, na sznurach, uwiązanych do haków w murze, suszyła się bielizna poszarpana, łachmany dziurawe, szerzące mikroby wszelkich chorób.

Wszedłem na wązkie ciemne schody, prowadzące do małych mieszkanek. Stanąłem wreszcie na najwyższem piętrze przed drzwiami noszącemi Nr. 60. Klucz tkwił we drzwiach. Zapukałem.

— Proszę — odezwał się z głębi głos stłumiony, nie taki, jak go sobie wyobraziłem.

Nie był ani ochrypłym, jak u pijaka, ani twardym, jak u wyrobników tej ubogiej dzielnicy.

Powierzchowność człowieka, któregom ujrzał po otwarciu drzwi, pasowała najzupełniej do tego głosu. Okrywały go wprawdzie łachmany, nie rażące na tle tej izdebki, prawie ogołoconej z mebli, na tle tej nędzy i brudu.

Lecz właśnie ta odzież i takie otoczenie uwydatniały jeszcze subtelną delikatność rysów, o której już mi Corbiéres wspominał.

Miękie, bardzo jasne włosy i oczy słodkie niebieskie, na twarzy wypełzłej były jedynemi śladami wytwornego niegdyś rysunku głowy, dziś już zwyrodniałej. Ręce brudne, źle utrzymane, z paznogciami ogryzionemi do krwi, miały jednak kształt foremny, palce były długie i cienkie. Smutny wyraz twarzy dobitniej od wszelkich wyznań mówił o społecznym i osobistym upadku tego człowieka.

Ujrzawszy mnie, raczył zaledwie podnieść głowę.

Pomimo późnej godziny, nędzna izba nie była jeszcze uprzątnięta; kołdra leżała na ziemi obok siennika, na stole, poczerniałym z brudu, były jeszcze resztki śniadania: skórka od chleba, której zgryźć nie mógł szczękami bezzębnemi i na zatłuszczonym papierze, okruchy włoskiego sera. Obok tych szczątków jadła stał próżny litr. Robert wydudlił go zapewne prosto z butelki, bo szklanki nie było. Po śladach na stole poznałem, że litr zawierał przed chwilą białe wino.

Dwa krzesła, blaszane wiaderko bez rączki, miska i wyszczerbiony dzbanek — takie było umeblowanie tej izdebki. Ale prawda, zapomniałem o kilkunastu książkach, ustawionych starannie na półeczce. Były to jedyne ślady świetnej niegdyś edukacji.

Piotr Robert palił obojętnie krótką fajeczkę glinianą, napełnioną odpadkami cygar, które zbierał widocznie na ulicach. Resztki tej kolekcji piętrzyły się na stole.

Nie zadał sobie trudu wstać z krzesła na moje powitanie; w jego oczach nie było błysku ciekawości ani zdziwienia, gdym go zapytał:

— Wszak pan Piotr Robert?

— Tak, to ja — odparł — czego pan sobie życzy?

Stosownie do umowy z Eugeniuszem, powiedziałem mu, że jestem członkiem pewnego Towarzystwa dobroczynnego; że dowiedziawszy się od jego sąsiada, iż jest w trudnych warunkach, przybyłem zasięgnąć bliższych szczegółów.

Szło mi niezręcznie, nie umiałem wniknąć w rolę „Anioła pocieszyciela“. Bałem się dumnego zuchwalstwa, o którem mi Eugenjusz wspominał.

Nędzarz słuchał mnie z tą samą obojętnością, z jaką mnie był przyjął. Nie pytał ani o moje nazwisko, ani o nazwę stowarzyszenia dobroczynnego, którego byłem rzekomym przedstawicielem. Wskazał mi tylko resztki swego śniadania, niedopałki cygar i rzekł:

— Istotnie, bogatym nie jestem. Patrz pan, co jem i co wypalam... Ale większej jeszcze biedy zaznałem w Afryce.

Po chwili, z nagłą uprzejmością, świadczącą o zabytkach lepszego wychowania, wskazał mi ręką jedno z dwu krzeseł.

— W Afryce? Czy pan służył w wojsku? — zagadnąłem, korzystając, że mogę się czegoś uczepić w przeprowadzeniu mojego śledztwa.

To pytanie dało upust jego wymowie. Zresztą byłby i tak się rozgadał, ze zwykłą wielomównością alkoholików. Wśród potoku słów trudno było złapać wątku, wciąż urywał, odbiegał od przedmiotu.

Widziałem w tem zapowiedź rozstroju umysłowego, który miał się objawić za tydzień, za miesiąc, a może za pół roku dopiero...

Jego zwierzenia nie zwracały się do mnie. Był to bezładny monolog. Przerywałem go kiedy niekiedy, a właściwie nadawałem mu kierunek mojemi pytaniami. Ten człowiek był już na wpół maniakiem, zakażonym trucizną; nie mówił do mnie, ale głośno do siebie, choć był po niewielkiej dawce trunku.

Przy jego wynędznieniu ten litr białego wina wystarczał, aby mu splątać język i myśli.

— Gdybym nie miał „pecha“ — mówił — byłbym dziś co najmniej pułkownikiem i oficerem Legji honorowej. Takim jak mnie pan widzisz, mój panie... mam dyplom doktora nauk przyrodniczych i filozofji. Zdobywałem nagrody w liceum. Oto część tych książek. Spójrz pan...

Fajką, wydobytą z ust bezzębnych, wskazał mi szereg tomów, wśród których na miejscu widocznem panoszył się największy, oprawny w zieloną skórę z herbami cesarstwa i złoconemi brzegami.

— To Horacy — objaśnił — odczytuję go czasami... Nie zapomniałem jeszcze łaciny:

Qui fit, Maecenas, ut nemo, quam sibi sortem...

„Rad ze swego losu“. Nie mogę tego powiedzieć o sobie... Sam pan zresztą osądź.

W dwudziestym pierwszym roku wstępuję do wojska. Wybieram artylerję. Powiadam sobie: z mojemi wiadomościami z matematyki dopłynę do szkoły wersalskiej. Za lat trzy zostanę oficerem.

...Ale trafiłem na wachmistrza skończonego kanalję... Coś sobie do mnie upatrzył... Prześladuje mnie zawzięcie. Po dwóch latach dopiero zostaję brygadjerem... Po dwóch latach... z moją edukacją, mój panie! Zaledwie w czwartym roku służby dopuszczono mnie do szkoły... Nie szczęściło mi się w pułku. Piłem trochę. No, to chyba naturalne. A jednak mój dawny pułkownik, a jednocześnie przełożony szkoły miał mi to za złe. Dziwny człowiek! Pewnego wieczora spotyka mnie, gdym wracał trochę wesół... ani odrobinki za wiele... Gdyby miał takt, udałby, że mnie nie widzi. Tymczasem, on wpakował mnie na odwach. W dwa dni potem zostałem uwolniony ze szkoły.

Wracam do pułku... kończyły mi się pięć lat służby. Wstępuję do artylerji marynarki. Nie mogłem już marzyć o Wersalu... Wielka szkoda! Byłby ze mnie wyborny oficer! Mówiłem sobie: wyruszę do kolonij, jako żołnierz, a pozostanę tam, jako osadnik.

...Odbyłem dwa lata służby w Algierze i Tonkinie... Ale gdym się przyjrzał, co to jest życie kolonisty, straciłem do niego ochotę z kretesem... Zresztą byłem wciąż chory.

Mój panie, powiedz-no sam, czy warto zdobywać kraje, w których człowiek nie może wypić jednego marnego kieliszka, aby mu wątroba nie puchła?

Skorom się tylko uwolnił, poprzysiągłem sobie, że nie opuszczę Paryża. I oto siedzę już tu trzy lata. Trudno wyżyć, gdy człowiek nie ma fachu w garści, a w moim wieku zapóźno już uczyć się czegokolwiek.

— Jako dymisjonowany podoficer ma pan prawo do emerytury — wtrąciłem.

— Ba! miałbym, ale *oni* mnie zdegradowali na prostego żołnierza. Nie miałem protekcji, a takim *oni* nic nie puszczą płazem...

Oni — to byli zapewne urojeni prześladowcy, na których zwalał całą winę, nie chcąc jej widzieć w swoim zgubnym nałogu.

Dotychczas wysłuchiwałem konfidencyj zwykłego pijaka, wykolejonej jednostki. Nikt jej nie pociągał na dno przepaści, stoczyła się sama siłą rozpędową, przez brak woli, brak wpływów umoralniających, a może i brak pieniędzy.

Zakres win niepowetowanych jest tak rozległy dla majętnych, tak ograniczony dla ubogich!

Te zwierzenia nie budziły we mnie zbytniego współczucia. Lecz nagle, kilka słów, opromieniło blaskiem złowieszczym tę fizjonomję banalną jednej z licznych ofiar nowoczesnego wychowania. Dziś jeszcze dreszcz mnie przenika, gdy sobie przypomnę chwilę, tak już odległą, gdym owe słowa usłyszał.

— Więc pan nie masz wcale rodziny? — spytałem.

— Jestem dzieckiem nieprawem — odrzekł — stąd całe moje nieszczęście... Ojciec mój jednak nie winien. Był żonaty, miał stanowisko poważne. Zrobił dla mnie, co mógł. Dopóki moja matka żyła, jej dawał pieniądze na moje wychowanie... Gdy umarła — miałem wówczas lat dziewięć — umieścił mnie w kolegjum, płacił za mnie. Moje losy wzięłyby inny obrót, gdyby i on nie był umarł w chwili, gdym kończył liceum lub gdyby mi oddano to, co dla mnie zostawił...

— Umarł. Więc nie było testamentu? — przerwałem milczenie w obawie, że zamknie się nagle w sobie, jak to się zdarza ludziom, podnieconym własnemi słowami, którzy zaczną opowiadać tajne, sromotne nieraz szczegóły swego życia, potem urywają nagle i za nic już nie chcą kończyć, sami nie wiedząc dlaczego, tak, jak bezwiednie i bez zastanowienia odsłaniali najskrytsze tajniki.

Tacy ludzie ulegają popędom danej chwili, wrażeniom, z których sami nie potrafiliby zdać sobie sprawy.

Piotr Robert słuchał moich pytań obojętnie i wpatrywał się we mnie swojemi oczyma niebieskimi, w których początkowo widziałem tylko słodycz. Teraz dopiero spostrzegłem w nich jakiś blask dziwny. Może go już zmęczyły te konfidencje, wymagające wysiłku myśli, na który już nie mógł się zdobyć, a może zbyt jawnie okazałem ciekawość nieusprawiedliwioną, pozornie przynajmniej i to go powstrzymało.

Bądź co bądź, zamiast odpowiedzi na moje pytanie, rzekł:

— A zatem widzi pan, że potrzebuję istotnie pomocy osób litościwych.

— Wszak już pan zna parę takich osób— rzekłem i wyjmując z kieszeni przygotowaną monetę, położyłem ją na stole. — Wiem — dodałem - że państwo Corbières są dla pana bardzo litościwi.

— Pan zna starych Corbières? — zawołał, wyjmując z ust fajeczkę i cały naprzód podany, wpatrywał się we mnie gorączkowo.

Po chwili jednak ramionami wzruszył i pociągnął znowu z fajeczki.

— Rozumiem — rzekł — oni pana tutaj przysłali... A wiem także dlaczego. Pan mi będziesz radził, żebym wyjechał z Paryża. Prawda? No, przyznaj się pan. Opowiadali panu, że ja się truję alkoholem, że robię się bydlęciem. Oni mi to wciąż powtarzają. Otóż nie, nie, nie! Nie wyjadę. To moja zemsta... Niech ją piją aż do dna...

Przy tych słowach twarz mu się ożywiła. Widziałem w niej owe bezczelne poczucie swej mocy, które uderzyło Eugenjusza. To nagłe przeistoczenie było dziwne w żebraku tak pokornym przed chwilą; słowa jego tchnęły groźbą, a zarazem głębokiem przekonaniem, że może prawa dyktować. Pozwalałem mu się wygadać, nie przeczyłem jego domysłom. On brał to moje milczenie za dowód ich słuszności.

Ogarnęło mnie nagłe przeczucie tego, co za chwilę miałem usłyszeć. Słowa: *Gdyby mi oddano to, co mi ojciec zostawił* — rozdarły przed memi oczyma całą tajemniczość małżonków Corbières, jak błyskawica pruje ciemność. To objawienie wstrząsnęło mnie do głębi duszy.

— Pan jest niesprawiedliwy — rzekłem. — Jeżeli państwo Corbières życzą sobie, abyś opuścił Paryż, to działają w twoim własnym interesie. Jeżeli ci wypominają twój nałóg, i w tem mają słuszność. Wszak pan sam mówisz, żeś otrzymał edukację. Nie należy więc tak się wyrażać o swoich dobroczyńcach.

— Oni! Oni, moi dobroczyńcy? — zawołał. — Oni podają się za moich dobrodziejów!...

Zaśmiał się tak samo zapewne, jak w owej szynkowni przy ulicy St.-Jacques przed pustą szklanką.

Jak każdy pijak w stanie półtrzeźwym, bywał naprzemian, to odtrętwiały, to podniecony gorączkowo. Trudno mu było znaleść słowa, jąkał się, zacinał.

— Nie, panie — powtarzał — to nie moi dobroczyńcy. Jeżelim się zmarnował, jeżeli do tego stałem się tem, czem dziś jestem: zeschłym owocem, człowiekiem wysadzonym z siodła, jeżeli się rozpiłem, to ich wina. Nie mam na to dowodów — prawda, nie mam takich, którebym mógł przedstawić sądowi, nie zdołam wykazać, że ci „dobroczyńcy" okradli mnie, tak, panie, okradli... Ha! Zresztą, na coby mi się dziś te pieniądze zdały?... Co innego, gdy miałem lat dwadzieścia. Wtedy byłbym kupił wolontarjat; po odbyciu rocznej służby, studjowałbym prawo albo medycynę... Zostałbym sławnym adwokatem albo wielkim lekarzem... Niech mnie pan nie sądzi wedle tego, czem dziś jestem... *a ruined piece of nature*, jak powiada *tamten*.

Wymówił to zdanie angielskie z zabawnym akcentem, dość jednak wyraźnie, abym mógł poznać w nim słynny okrzyk „Króla Leara".

Że zdołał jeszcze, w tym stanie upadku, przytaczać bodaj jedno zdanie z Shakespeare'a; że przed chwilą mógł cytować wiersz Horacego — bodaj wiersz jeden — wszak to świadczyło, że w owym Piotrze Robert tlały jeszcze popioły po zgasłem ognisku inteligencji.

Z dawnego człowieka pozostały tylko te rzadkie odbłyski, rysy twarzy wytworne i owe wybuchy nienawiści do tych, którzy go zgubili.

Być zresztą może, że byłby się zgubił sam, że jego słaba wola wtrąciłaby go w inną przepaść, niemniej głęboką. Miał jednak prawo rzucać oskarżenie, które wyrażał w te słowa:

— To ich wina, panie, ich własna wina. Jeżeli kłamię, niech zaprzeczą, niech się usprawiedliwią. Pan jesteś ich przyjacielem. Rozmów się z nimi, powtórz im co powiedziałem. To ich nauczy... Nie będą mi już nikogo nasyłać... A zobaczysz pan, jak oni zbledną, jak się będą trzęśli... I przedemną trzęśli się i bledli. Powiedzą panu, że jestem warjatem, tak jak i mnie powiedzieli... Właściwie nie oni, ale on. Stara nic nie mówi, tylko płacze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Piwo w średniowiecznym Krakowie.*)

Chociaż rozwój wyrobu piwa w Polsce da się zaznaczyć dopiero od czasów kolonizacji niemieckiej, to jednak nie było ono nam obcem i dawniej. Piwo bowiem — a nie miód jak chce późniejsza tradycja — zastawił mistyczny Piast swym gościom z nieba; zaś Leszek Biały prosząc papieża o zwolnienie od ślubowanej wyprawy do ziemi świętej, podał jako powód swej prośby, brak w krajach południowych tego napoju, bez którego obejść się nie może.

Kraków — podobnie jak inne miasta lokowane na prawie niemieckiem — otrzymał od Kazimierza Wielkiego (1358 r.) przywilej, iż nikt nie śmie w obrębie pół mili (a d m e d i u m m i l i a r e) od miasta warzyć piwa na szkodę mieszczan. Za to w samem mieście były liczne browary, nieraz po kilka na jednej ulicy.

*) Napisał Stanisław Kutrzeba. Rocznik krakowski 1898 T. I., str. 37—52.

Akta i rachunki miejskie krakowskie z XIV. i XV. wieku dają nam materjał do poznania produkcji i konsumcji piwa.

Znano kilka gatunków gorszych wyrabianych z pszenicy i dobre marcowe czarne, wyrabiane z jęczmienia. Browarnicy, jak się zdaje, tylko w małej ilości warzyli piwo na własny rachunek, przeważnie zaś na rachunek osób innych, które dostarczały potrzebnego materjału surowego, piwowar zaś oddawał im gotowy napój. Władze miejskie — jak we wszystkich innych rzemiosłach — regulują i tu produkcję w ten sposób, że oznaczają, jaką ilość piwa winien piwowar wyrobić z otrzymanego materjału (np. 20 miar pszenicy daje 9 beczek piwa dobrego i jedną gorszego itp.) i jaka mu należy się opłata za warzenie od stron. Kontrolę wykonywano za pomocą tzw. mierzenia słodów. Do tej czynności utrzymywało miasto osobnych, zaprzysiężonych ludzi tzw. mierników, którzy za małą opłatą (na rzecz miasta) odmierzali napój odbierany przez strony od piwowara. Za brak przepisanej ilości miar, za używanie miar fałszywych, i w ogóle za uchylenie się od kontroli ponosili winni surowe kary. Gdy z końcem w. XIV. przystąpiło miasto do budowy wodociągów, z których naturalnie korzystały w znacznej mierze browary, powstała jeszcze opłata z tego tytułu zwana »rorgelt«. Ściągano ją od każdego wozu słodu wprowadzanego do miasta zaraz przy bramie, korzystając z tego, że wszystkie młyny do mielenia słodu leżały poza obrębem murów. Przez długi czas (do r. 1564) wyrób piwa był wolnym, to znaczy, że nie było cechu piwowarów, któryby produkcję ograniczał wszelkiemi możliwymi sposobami, jak to się działo we wszystkich innych rzemiosłach, gdzie nie dopuszczano, aby jeden produkował więcej niż drugi, lecz by wszyscy równe mniej więcej mieli dochody.

Pokaźny dochód ciągnęło miasto także z pewnego rodzaju podatku od konsumcji. Urządzonym on był w sposób następujący: Do przewiezienia piwa z browaru do szynku musiano używać specjalnych wozów miejskich zwanych »schrotwagen«, które zostawały pod zarządem osobnego funkcjonarjusza miejskiego »schrotmagistra«. U tego kupował każdy potrzebną ilość znaczków metalowych, które następnie oddawał pomocnikom magistra, a ci przewozili opłaconą ilość beczek. Wprawdzie wolno było używać do przenoszenia beczek tragarzy, ale gdy władze oznaczyły same dość wysoką opłatę tragarzom, a nadto pozwoliły przenosić tylko najmniejszy rodzaj beczek (półachtelek), to strona nic zupełnie na tem zyskać nie mogła i musiała uciekać się do »szrotwagenu«.

Piwo ze składów lub szynków wychodziło już bez żadnych opłat, gdyż dopiero później powstały inne jeszcze opłaty konsumcyjne jak czopowe, goździowe itp. Kontrola nad szynkowaniem, rozciągała się już tylko nad tem, aby szynkarze nie używali fałszywych miar, nie dolewali do piwa dobrego gorszych gatunków (do tego celu byli także osobni funkcjonarjusze zwani *affusores*) i sprzedawali po oznaczonych przez władzę cenach. Ponieważ stosownie do cen zboża, zmienia się i cena piwa, przeto oznaczano ją corocznie, a nieraz i dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni.

Oprócz piwa miejscowego używano też i obcego. Największym popytem cieszyło się piwo świdnickie (ze Świdnicy na Śląsku), szynkowane w piwnicy pod ratuszem. Dowóz tego piwa prowadziło miasto we własnym zarządzie i miało stąd bardzo znaczne dochody (np. w r. 1390—500 grzywien). Piwnica świdnicka ma swoją własną własną historję, miała czasy świetne i chwile upadku. Z końcem XVI. nie ma już miasto z niej prawie żadnego dochodu. *Zw. Po.*

Z pism i książek.

E. Przewóski. Krytyka literacka we Francji tom I. Tom 6 bibljoteki Związku naukowo-literackiego wydawanej nakładem księgarni H. Altenberga, przynosi szereg studjów przedwcześnie zgasłego E. Przewóskiego nad współczesną krytyką literacką we Francji i jej ewolucją po Taine'ie. Niektóre luki w pracy ś. p. Przewóskiego wypełnił A. Lange i tak powstała książka, mogąca niewątpliwie przyczynić się do wyrobienia u nas i ustalenia sądów literackich.

Błędy językowe.

Powtarzamy ostrzeżenie o rażącym błędzie składniowym, który się już wgryzł w styl galicyjski i poznański (a jest oddawna prawidłem w języku czeskim), przyszedł zaś do nas z języka niemieckiego, odznaczającego się pedanterją i szkolarstwem w składni. Chodzi tu o szyk podmiotu z orzeczeniem. Styl szczeropolski wymaga porządku naturalnego, t. j. aby podmiot poprzedzał orzeczenie; ale w niemczyźnie jest inaczej, skoro tylko przed zdaniem głównem stoi podrzędne; tak więc Niemiec mówi, jak my, że np. „hrabina odjechała;“ ale jeżeli doda z początku, że „po wysłuchaniu mszy,“ to musi zmienić szyk i powiedzieć: “odjechała hrabina.“ U nas nigdy dawniej nie naśladowano w tem Niemców; dopiero od lat może trzydziestu, pod wpływem szkół niemieckich, zaczęto gwałcić szyk przyrodzony i oto niedawno w jednem z pism czytamy: „Z powodu fatalnej pogody (przecinka niema!) wypadła w tym roku uroczystość rezurekcyjna bardzo skromnie co do strony zewnętrznej.“ Nie mówiąc już o owem niemieckiem wypadła (ist ausgefallen), zamiast udała się, powiodła się, wyglądała itp., zwracamy uwagę na zniemczenie szyku; powinnoby być: „Z powodu fatalnej pogody, uroczystość rezurekcyjna...“ Tego rodzaju błędów coraz więcej spotykamy w dziennikach. *Caveant scriptores!*

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.